Cena 1000 mk.
№ 5. Warszawa, 3 lutego 1923. Rok IV.

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *I. M.:* Choroba pieniądzą źródłem zarazy moralnej. — *Jan Bobrzyński:* Uwagi nad exposé prezydenta ministrów Sikorskiego. — *Dr. Stefanja Tatarówna*: Walka o Marxa w świecie teorji i czynu. — *St. Pomarański:* Marjan Dubiecki. — Sanacja finansów Austrji. — *Wiktor Brumer*: Zagadnienie zespołu teatralnego. — *E. Sas*: Opera Ludomira Różyckiego „Casanowa". — Ku uczczeniu 450-ej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. — † p. Juljan Tański. — *Lew Tołstoj:* Ojciec Sergjusz (tłom. Xawery Glinka) (odcinek). —

Choroba pieniądza źródłem zarazy moralnej.

Najżywotniejsza, najbardziej paląca dziś sprawa naszej polityki wewnętrznej — reforma skarbowa — z natury rzeczy porusza umysły wszystkich, nietylko ekonomistów, finansistów i polityków, — lecz filozofujących idealistów, psychologów — pedagogów — i zaprawdę, dziwić by się nie można, gdyby znalazła odbicie nawet w twórczości poetyckiej. Przędzę marzeń snuje się zwykle najskwapliwiej tam, gdzie rzeczywistość najdalej odbiega od ideału, że zaś stosunki gospodarcze są najdotkliwszą bolączką wszystkich mieszkańców kraju, przeto niema wśród nich ani jednego, któryby od nich nie szukał drogi do jakiejś wyspy szczęśliwości.

Nie każdy może rozporządzać konkretnemi środkami sanacji, a każdy chciałby w jakiś sposób przyłożyć do niej rękę.

Tem się może tłomaczy kierunek rozumowań dwóch kolejnych prelegentów Klubu Wymiany Myśli Politycznej, którzy klucza do rozwiązania zawikłanych zadań gospodarczych szukali w duszach ludzkich. Jeden (p. Pierzchalski) mówił o „psychozie", która staje na przeszkodzie uzdrowieniu waluty; drugi (p. Huzarski) o „idealnej" wartości pieniądza, rosnącej w miarę wzrostu zaufania i wiary, często bez związku z jego realną wartością.

Możnaby w konsekwencji wysnuć stąd wskazania: „Uzdrowienie waluty osiągniecie przez uzdrowienie duszy; stabilizacja waluty przez utwierdzenie wiary".

Nie przecząc, że pewne czynniki psychiczne wchodzą w grę i tu, jak wszędzie. gdzie chodzi o sprawy ludzkie i zjawiska społeczne, trudno tracić z oka, że w tym wypadku skutki i przyczyny zostały poplątane i że — bądź co bądź — zjawiska psychiczne należy chyba uważać za wtórne następstwa przyczyn zupełnie materjalnych.

Psychoza ucieczki przed marką, popłoch, sceptycyzm mają dziś źródło w tych samych instynktach ludzkich, jakie w epoce przedwojennej rodziły gonitwę za pieniądzem, kult złotego cielca, magazynowanie i kapitalizowanie pieniężnych zysków. Miejsce „dusigroszów" — zajęli „paskarze"; przewrót olbrzymi w stosunkach, nie sięgający jednak bynajmniej do dna natury ludzkiej.

Nie znaczy to jednak, by owo odwrócenie wartości nie miało się odbić na obyczajach i charakterach ludzkich, i to w sposób równie ujemny, jak na stosunkach gospodarczych. Nastąpiło pewne spaczenie i zwyrodnienie tych cech psychicznych, na których świat przedwojenny budował, nietylko dobrobyt i materjalną kulturę, lecz swój porządek i postęp moralny. Możnaby tedy odwrócić powyżej sformułowaną sentencją i z równą słusznością głosić: „Bez uzdrowienia waluty nie wyleczycie chorób duszy waszej".

Najuczciwszym i najużyteczniejszym dla ogółu typem ekonomicznym był człowiek, który swą pomyślność opierał na pracy i oszczędności. Przez pracę i oszczędność miljonów rosły zasoby narodu i dźwigały się wszystkie dzieła kultury, będące zbiorowym wytworem rąk i mózgów przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Dziś niema żadnych podniet do oszczędności, a bardzo mało do pracy. Oszczędność przestała być cnotą, stała się lekkomyślnem głupstwem. Naiwnem dzieckiem jest ten, kto wydaje mniej, niż ma, i odkłada na jutro, na czarną godzinę. Każdy grosz odłożony jest zmarnowany; tylko natychmiastowa korzyść lub przyjemność chroni od tego, by obecna godzina nie stała się „czarną". — „Jedz, póki cię jeszcze stać na jedzenie. Nie wahaj się kupować rzeczy, których potrzebujesz, a nawet nie potrzebujesz, gdy ci się wydają za drogie. Bądź pewny, że jutro będą droższe jeszcze, a dzisiejsza cena wyda ci się za niską, jakbyś je dostał pół-darmo. Nie myśl o jutrze; nie licz na to, że dzisiejszy dzień pracy może zaspokoić jutrzejszy twój głód. Tem, co zarobisz we wtorek, nie zdołałbyś żadną miarą opędzić potrzeb najbliższej niedzieli. Ale to wszystko jedno, zmieni się mnożnik drożyźniany i musisz dostać dodatek znacznie wyższy niż ten kapitał, który mógłbyś uciułać przy najściślejszej oszczędności. Nie troszcz się o wartość i wydajność swej pracy

i tak nie będzie ona płacona i oceniana wedle swej jakości, lecz wedle kalkulacji urzędów statystycznych, określających, ile ci się za nią dostać powinno. Każdy dzień wypłaty jest dniem niespodzianek — no, i dzień zakupów także".

Obecne stosunki gospodarcze są szkołą lekkomyślności.

Przezorność i zaradność zanikają, bo zanikać muszą.

Wraz z niemi niknie popęd twórczy, chęć działalności produkcyjnej na większą skalę i wedle szerszego planu. Każde przedsięwzięcie obliczone na dłuższy czas, na szereg wytrwałych, konsekwentnych, skoordynowanych wysiłków, staje się hazardem.

Kto buduje dom niema pewności, czy zdoła go doprowadzić pod dach, nim zima zaskoczy; pierwsze piętro może kosztować trzy razy więcej niż drugie, a trzecie więcej niż przeznaczono na całą budowę. — Kto zabiera się do drukowania wielkiego dzieła, może być zmuszonym przerwać po kilkunastu arkuszach skutkiem wyczerpania środków. Stąd powstają całkiem świeżej daty zwaliska i nowiusieńka makulatura, czyli marnotrawstwo sił i środków wręcz karygodne w tak ciężkich czasach.

Natomiast to, co było hazardem lekkomyślnym, stało się najpewniejszą w świecie kalkulacją. Solidni, rozsądni ludzie biorą się do gry na giełdzie, spekulują na akcjach czy walutach obcych, boć to jedyny sposób pewny i niezawodny uchronienia się od strat. Skąd wziąć pieniędzy na wypadek choroby? Kup dolary i schowaj! Niema innej rady. Nieprodukcyjne zajęcia przynoszą korzyść osobistą, produkcyjne stratę. Nawet w tym samym zawodzie ten najwięcej zyskuje osobiście, kto najmniej pożytku przynosi ogółowi. Kupiec ma tem większy zysk, im mniej sprzedaje, im dłużej towar przechowuje. Robotnik tem więcej zarabia, im częściej przerywa pracę i targuje się o zarobek.

Ofiarność publiczna zanika; tylko doraźna jałmużna jest celowa. Ktoby dziś zapisał swój majątek na cele publiczne, drwiłby z nędzy, którą wspiera. Pani Kierbedziowa dała ongi ćwierć miljona rubli na Szkołę sztuk pięknych, tyleż czy więcej na Bibliotekę Publiczną. Czaban zapisał przeszło miljon i zasilił nim wiele użytecznych instytucji. Kasa Mianowskiego miała coś 100000 rb. rocznie z zapisu jakiejś części kopalni nafty. Dziś cały zapis p. Kierbedziowej nie starczyłby na oprawę książek w tejże bibliotece Naukowej, a któżby wyżył ze stypendjum wysokości całorocznego dochodu Kasy Mianowskiego!! Głosem wołającego na puszczy jest każde wzywanie ludzi, by myśleli o drugich, o ludziach nieznanych, dalekich, o przyszłych pokoleniach narodu, kiedy nikt sam dla swojej przyszłości nic zrobić nie może. Wszystko jest znikome, zmienne, zagadkowe.

Aż dziwno, że wobec tego jednakże jeszcze przychodzą na świat i rosną owe „przyszłe pokolenia", którym żadnej przyszłości zabezpieczyć nie można, których racja bytu leży tylko w nieuleczalnym optymizmie, w staropolskiej filozofji: „jakoś to będzie". Nikt nie wie, czy stać go na utrzymanie i wychowanie potomstwa; przeciwnie, każdy wie, że nie stać go na wyżywienie i ubranie więcej niż jednej istoty ludzkiej, to jest samego siebie — o ile nie jest szczęśliwym spekulantem, dorabiającym się w ten lub ów sposób na jakiejś klęsce ekonomicznej. Jakoś jednak ludzie żyją, dzieci rosną, nawet uczą się, płacąc coraz droższe wpisy i studjując coraz droższe podręczniki. Wśród kłębów papierowej kurzawy przemykają się ludzkie egzystencje ku nieznanemu jutru, zawsze licząc, że kiedyś kurzawa opadnie i jakieś wyraźne zarysy krajobrazu pozwolą każdemu odnaleźć drogę do upatrzonego celu.

Życie z dnia na dzień — i wszystkie szkodliwe narowy, od niego nieodłączne, oto współczesna choroba wieku.

Dodaćby można jeszcze niejeden objaw wtórny, np. zanik życia domowego, z braku domów, z nim razem zanik cnót rodzinnych, upadek życia towarzyskiego, stąd i kultury towarzyskiej, ogłady obyczajowej, tak bardzo łagodzącej stosunki ludzi z ludźmi. Może w związku z tem i w życiu publicznem panoszy się obyczajowe chamstwo, wojowniczość, i zadzierzystość nie hamowana żadnemi względami, gdy ludzie nie stykają się już nigdy na jakimś neutralnym gruncie, gdzie przyzwoitość nakazywałaby tolerować się nawzajem, a jedynie na arenie, gdzie jedni drugim skakać do oczy nawykli.

Może to zdziczenie? A może chaos, z którego powstanie jakaś nowa odrębna kultura o tak niedającej się dziś przewidzieć wartości, jak nieprzewidziana jest wartość nowego złotego polskiego, który ma zjawić się w miejsce marki?

I. M.

Uwagi nad exposé prezydenta ministrów Sikorskiego.

W № 4 „Tygodnia Polskiego" w artykule wstępnym daliśmy już ogólną ocenę exposé gen. Sikorskiego i jego zwycięstwa w trzydniowej bitwie parlamentarnej. Obecnie drukujemy artykuł p. Jana Bobrzyńskiego, zawierający bardziej szczegółową analizę tego obszernego i wznoszącego się ponad poziom dotychczasowych enuncjacji rządowych exposé.

(Przyp. Redakcji).

Exposé prezydenta ministrów, generała Sikorskiego, wypowiedziane w sejmie dn. 19 stycznia, wznosi się bezsprzecznie ponad poziom dotychczasowych enuncjacji rządowych. Doniosłość tego przemówienia leży nietylko w niezwykle trafnem i śmiałem ujęciu przedmiotu, ale przedewszystkiem w tem, że poruszyło ono szereg pierwszorzędnych, podstawowych kwestji, ukrytych dotąd podświadomie albo też lękliwie w głębi duszy każdego Polaka, które zdawały się jakgdyby czekać tylko na to, aby jakiś upoważniony, autorytatywny głos wydobył je na światło dzienne i uczynił przedmiotem publicznej rozwagi i dyskusji. Podobnie jak w zahamowanym z powodu technicznych wad mechaniźmie zręczne poruszenie zahaczonej sprężyny wyzwala ukryte napięcia, puszcza go w ruch i uwidacznia odrazu istotę defektów, tak mowa generała Sikorskiego wyzwoliła w słuchaczu i czytelniku to wszystko, co każdy niby wie i czuje, całe to napięcie wewnętrzne duszy polskiej, potęgowane doświadczeniem czterech pierwszych lat niepodległości, które jednak nie było w stanie lub nie miało odwagi dotąd z należytą mocą się ujawnić.

Mówca uderzył bowiem w samo sedno na-

szego zagadnienia państwowego, wskazując na podstawowe, tradycyjne wady naszego ustroju i egzekutywy, a więc zarówno w organizację narodową jak i w metodę działania. Uchwycił traf nie, że pracę trzeba tu zacząć od podstaw, że bez gruntownej zmiany psychiki i metody pracy i zastosowania ich do wymagań egzystencji nowoczesnego państwa, usiłowania naprawy Rzeczypospolitej będą daremne, bo zgubi nas to samo, co sprowadziło niegdyś rozbiory. Temsamem potępił stanowczo nieszczęsne hasło gospodarki „przejściowej“, którem zahypnotyzowały nas rządy okupantów, a które, stosowne może dla likwidacji stosunków wojennych mocarstw wojujących, ale całkiem niestosowne dla nowopowstałego organizmu, spaczyło naszą politykę i gospodarkę od pierwszej chwili i niezmierne wyrządziło nam szkody.

Przedewszystkiem umiał generał Sikorski, jak nikt dotąd, obudzić uśpione echa historji i ożywić je przez porównanie z obecnym stanem państwa, że tak powiem „uaktualnić“ je. Stanęła nam żywo przed oczyma jaskrawa analogja między psychiką i taktyką sejmu konstytucyjnego oraz dzisiejszego naszego społeczeństwa, którego on był równocześnie emanacją i motorem, a dawnych sejmów przedrozbiorowych i ówczesnej ideologji szlacheckiej. Inne dziś przyszły do steru warstwy, zmieniły się stosunki, ale tensam panuje odwieczny wstręt do władzy, tasama walka z każdym nawet cieniem autorytetu, wzmożona jeszcze nieodpowiedzialnem, nieistniejącem nigdzie poza Polską usiłowaniem obniżenia tego autorytetu wobec obcych w imię zaciekłości partyjnych. Anarchja i demagogja dawnej warstwy szlacheckiej, uniemożliwiająca wszelkie rządy w imię wybujałego ponad wszelką miarę indywidualizmu i nieokiełznanej w teorji wolności, a w rzeczywistości poddająca się bezkrytycznie i z upokarzającym serwilizmem komendzie każdego warcholskiego magnata, przerzuciła się dzisiaj, mimo całej demokratyzacji i rzekomego uświadomienia społeczeństwa, na inne warstwy, których nowożytna taktyka jest wiernem odbiciem przeszłości. Tensam egoizm klasowy, tensam upór partyjny, ten sam żywiołowy wstęt do karności i władzy, to samo kamienowanie wszystkich, którzy jakiś porządek usiłują zaprowadzić, tosamo bezkrytyczne powtarzanie oszczerstw i plotek, ukutych przez niesumiennych prowodyrów.

Zapoczątkowanie podniesienia tego tak dotąd sponiewieranego autorytetu władzy powinno nastąpić przedewszystkiem od dokładnego, niedwuznacznego rozdziału kompentencji sejmu i rządu. I słusznie, najpierw zaprowadzić należy jakiś ład i podział pracy, aby każdy wiedział, co do niego należy. Pojęcia były w tym właśnie zakresie zawsze mgliste w Polsce, tak dawnej, jak i nowej; było istotną tendencją sejmów odgrywać rolę nietylko pracodawcy ale i wykonawcy, a tego przecież niema nigdzie na świecie. I tu miał nasz premjer odwagę, przy całem uznaniu i poszanowaniu dla prawa zasadniczej dyrektywy i kontroli sejmu i senatu, zastrzedz się stanowczo przeciw zbytniej ingerencji w egzekutywie zarówno ciał ustawodawczych jako takich, jak przedewszystkiem poszczególnych ich członkow. Rzecz to, o ile należycie będzie przeprowadzona, wielkiej wagi, bo wiadomo, jak nieraz obawa przed panem posłem lub klubem sejmowym gmatwała i paraliżowała najlepsze zamierzenia czynników rządowych. A rząd w szczegółach swej polityki musi mieć swobodę, aby módz wogóle coś zdziałać.

Wskazał dalej mówca na niedorozwój u nas idei państwowej. Wymaga to bliższego wyjaśnienia, aczkolwiek zrozumiałem jest każdemu, kto orjentuje się w warunkach nowoczesnej ewolucji państw. Każde silne, dobrze zorganizowane państwo dzisiejsze ma pewien zdecydowany kierunek, pewną przewodnią ideę „państwowo-twórczą“, która porywa za sobą świadomie lub odruchowo cały naród i stanowi linję wytyczną jego aspiracji i polityki. Przebija się ona też w pewnej konsekwentnej metodzie działania, grupującej w sobie wszystkie stronnictwa na drodze, po której zdąża dalej społeczeństwo — nieraz w ciągu długich czasokresów — do osiągnięcia pewnych doniosłych celow politycznych lub gospodarczych. Ta idea państwowo-twórcza, wybijająca się ponad wszelkie wewnętrzne różnice i rozterki, ujawnia się w inponujący sposób u narodów takich, jak np. Anglicy, Niemcy lub Japończycy; ale w większym lub mniejszym stopniu istnieje ona prawie u wszystkich, z wyjątkiem niestety u Polaków, u których wskutek ich specjalnej tradycyjnej ideologji oraz długiego okresu niewoli nie zdołała się dostatecznie rozwinąć. Zastępuje ją u nas po części patrjotyzm, skupiający naród w momencie bezpośredniego niebezpieczeństwa w chwilowym heroicznym wysiłku, oraz pewna instynktowna wstrzemięźliwość, chroniąca nas od gwałtowniejszych wstrząśnień wewnętrznych. Ale jedno i drugie nie wystarcza stanowczo w dzisiejszych warunkach zbiorowej, masowej pracy konkurencyjnej narodów w walce o byt i ekspansję, niezbędną dla utrwalenia rozwoju narodowego przez utrzymywanie wszystkich komórek organizmu państwowego w ustawicznem napięciu. Tego zbiorowego, metodycznego wysiłku, tej ponadpartyjnej myśli państwowej, tej upartej, ogólno-narodowej tendencji w pewnych określonych kierunkach wcale jeszcze u nas nie widać i dopóki to nie nastąpi, nie staniemy się państwem nowoczesnem w całem tego słowa znaczeniu.

Ten brak idei państwowo-twórczej tłomaczy sam przez się dostatecznie wszelkie nasze państwowe niedomagania i niesprawność w działaniu na różnych polach narodowej pracy. Tłomaczy on również poruszony przez gen. Sikorskiego brak zrozumienia całokształtu zadań państwowych u naszej administracji, będący naturalnym wynikiem bezprogramowości, na którą cierpią ogółem nietylko czynniki rządowe, ale i całe społeczeństwo. Ta zaś bezprogramowość jest znowu naturalnym refleksem owego żywiołowego wstrętu do organizacji i karności, odziedziczonego odszeregu pokoleń. Dlatego najsłuszniejszem jest twierdzenie o konieczności przewartościowania całej naszej psychiki narodowej jako podstawowego warunku utrwalenia podwalin naszego młodego państwa.

Słusznie również wysunął mówca kwestję kresów na jedno z naczelnych miejsc w przemowie. Jestto istotnie jedna z największych naszych bolączek i zarazem jedno z najważniejszych zadań — i to nietylko z punktu widzenia polityki

kresowej. Chodzi tu bowiem o zasadę naszego stosunku do obcoplemieńców wogóle. I tu uderzył prezes ministrów znowu w strunę historyczną, wskazując na dawną atrakcyjną względem obcych politykę Rzeczypospolitej, która skupiała w swych granicach różne plemiona w zgodnem pożyciu, wśród całkowitej religijnej i narodowościowej tolerancji, gwarantującej każdemu z nich swobodę rozwoju. Tej szlachetnej tradycji, jedynie racjonalnej w dzisiejszych warunkach, powinniśmy się trzymać i nadal, dążąc jednak zarazem z całą konsekwencją do podniesienia autorytetu polskiej władzy i wzmocnienia polskiego elementu. I to jest najważniejsze ze wszystkiego. Obcoplemiennych i innowierców nie trzeba drażnić szowinistyczną polityką, ale przyciągać ich żywiołowo interesem przez polityczne, militarne i ekonomiczne wzmocnienie rdzennie polskiego elementu w kraju. Interes rozstrzyga dziś o wszystkiem, w znacznej mierze nawet o uczuciach patrjotycznych. Żyd, Rusin, nawet Niemiec w Polsce zaczną lgnąć do niej, gdy im u nas będzie dobrze i gdy im Polska zaimponuje. Silna, zamożna a sprawiedliwa Polska pociągnie każdego z nich za sobą, słaba a szowinistyczna wzmoże tylko nienawiść. W tem leży rozwiązanie zarówno sprawy kresowej, jak i mniejszości narodowych wogóle.

W związku z tem usłyszeliśmy również — i po raz pierwszy z oficjalnej trybuny—zastrzeżenie pod adresem Żydów przeciw podnoszeniu ich słusznych praw jako obywateli Rzeczypospolitej na piedestał przywilejów. Istotnie pod tym bardzo ważnym względem musi nastąpić w społeczeństwie naszem raz nareszcie jasność pojęć. Dotychczasowe dwa ekstremy, kulminujące z jednej strony w śmiesznym antysemityżmie, podburzającym oba plemiona ustawicznie przeciw sobie, z drugiej w zaślepionej tolerancji tego, czego żadne suwerenne państwo u siebie by nie zniosło, muszą zniknąć, a na ich miejscu skonsolidować się jedna wspólna wszystkim Polakom opinja:

Niemasz w Polsce specjalnej „kwestji żydowskiej“. Jestto wymysł wrogiej nam zagranicy, rozdmuchany przez zachłanną t. zw. międzynarodową finansjerę do rozmiarów światowego problematu. Są tylko obywatele żydowscy w Polsce, równouprawnieni, ale i równoobowiązani, których nie wolno drażnić, ale którym też niewolno działać na szkodę państwa i przez szukanie oparcia na międzynarodówce finansowej, żądać specjalnych uprawnień i korzyści i dążyć faktycznie do zamiany Polski na jakąś Judeopolonję, podobnie jak w inny sposób uczynili z Rosją.

Jeden z najważniejszych momentów naszej egzystencji państwowej, którego nieuwzględnienie przyczyniło się do upadku dawnej Polski, porusza ustęp o naszej polityce zagranicznej. Wypowiedziano tam jasno, że zbyt daleko posunięta neutralność, wyrzekająca się udziału i ingerencji w obcych sprawach, powoduje kostnienie narodu i osłabienie państwa. Cała historja polska ostatnich trzech wieków przedrozbiorowych jest aż nadto wymownem potwierdzeniem tej tezy. Wszakże ta ówczesna polityka wyłącznej defenzywności i programowe desinteressement polityką zagraniczną spowodowały najpierw zakostnienie rozwoju państwowego, potem osłabienie nawet siły obronnej, a jednocześnie ułatwiły naszym sąsiadom swobodny rozwój w siły tak dalece, że obudziły ich apetyty na osłabioną, bezkrwistą Polskę. Stara to maksyma, że naród, aby istnieć, musi koniecznie utrzymywać się w ciągłem napięciu, musi dążyć do ekspansji, aby nie cofnąć się wstecz. Jeśli nie chcemy, aby się obcy mieszali zbytnio do spraw naszych, musimy zacząć się mieszać w ich sprawy. Chcąc uniknąć ofenzywy z ich strony,

---

LEW TOŁSTOJ.

OJCIEC SERGJUSZ.*)

I.

W Petersburgu, w latach czterdziestych zdarzył się wypadek, który zdumiał wszystkich: urodziwiec książe, dowódca lejb szwadronu kirasjerów, któremu wszyscy wróżyli, że zostanie fligieladjutantem i zrobi świetną karjerę przy cesarzu Mikołaju I, na miesiąc przed ślubem swym z piękną frejliną, darzoną specjalnemi względami cesarzowej, podał się do dymisji, zerwał z narzeczoną, podarował swój niewielki majątek siostrze i wyjechał do klasztoru, gdzie miał zamiar zostać zakonnikiem.

Wypadek ten zdawał się niezwykłym i niewytłumaczonym dla ludzi nie znających jego wewnętrznych przyczyn; dla samego zaś księcia Stefana Kasatskiego wszystko to było tak proste i naturalne, że nie mógł on sobie nawet wyobrazić, że można było postąpić inaczej.

Ojciec Stefana Kasatskiego, dymisjonowany pułkownik gwardji, umarł, gdy syn miał lat dwanaście. Matka, aczkolwiek żal jej było syna z domu oddawać, nie zdecydowała się oprzeć woli nieboszczyka męża, który na wypadek swej śmierci polecił w testamencie nie pozostawiać syna w domu, lecz oddać go do korpusu, co też uczyniła. Sama zaś wdowa z córką Barbarą przeniosła się do Petersburga, by mieszkać w jednem mieście z synem i brać go do siebie w dni świąteczne.

Chłopak był niesłychanie zdolny i posiadał ogromną ambicję, wskutek czego był pierwszym zarówno w nauce, celując szczególnie w matematyce, do której miał specjalne zamiłowanie, jako też w ćwiczeniach wojskowych i konnej jeździe. Nie bacząc na swój wyższy niż normalny wzrost, był on piękny i zwinny. Nadto, i pod względem sprawowania się byłby on wzorowym kadetem, gdyby nie jego gwałtowność: Nie pił, nie hulał i był charakteru nadzwyczaj prawego. Jedynie, co przeszkadzało mu być wzorowym, to te nadchodzące nań nagłe wybuchy gniewu, podczas których tracił zupełnie panowanie nad sobą i stawał się podobny do zwierzęcia. Razu pewnego omal nie wyrzucił przez okno kadeta, który zaczął podrwiwać z jego zbioru minerałów. Innym znów razem omal nie skończyło się tragicznie: pełnym półmiskiem kotletów puścił w szafarza, rzucił się na oficera i jak mówiono, uderzył go za to, że ten

*) „Ojciec Sergjusz“ należy do rzędu najlepszych i mało znanych u nas utworów z pośmiertnego wydania dzieł wielkiego pisarza rosyjskiego.

Przyp. Red.

musimy trzymać ich do pewnego stopnia w szachu. Trwożliwe lub doktrynerskie zamknięcie się w czterech własnych ścianach, nie zapewni nigdy utrzymania status quo, ale zapoczątkuje upadek. W życiu narodów, jak i w naturze, niemasz stanu spoczynku, lecz tylko postęp — naprzód albo wstecz. I o tem powinni szczególnie Polacy pamiętać.

D. n. **Jan Bobrzyński.**

WALKA O MARXA W ŚWIECIE TEORJI I CZYNU.

II. *(Dokończ.)*

Inaczej Lenin. On swym fanatycznym, pierwotnym umysłem ujął Marxa tak, jak ten pisał. Nie tak, jakby pisał językiem poetyckim, pełnym figur i przenośni, z których można wyprowadzać rozmaite prawdy, stosownie do swego rozwoju i potrzeb, ale tak, jak pisał — językiem ścisłym, matematycznym, gdzie każde słowo ma swoje znaczenie, swoje miejsce, gdzie go ani przemienić, ani usunąć nie można, w ścisłej konsekwencji jedno z drugiem — gdy nie może być z tej konsekwencji wyrwane i na inną drogę naprowadzone. Powołuje się wciąż na Marxa, wciąż przytacza jego słowa, ale też zachowuje cały jego pogląd na świat, materjalizm dziejowy, wiarę w siłę i tylko w siłę, przyjmując razem z Marxem walkę klas za podstawę dziejów, a prawdy, do jakich doszedł Marx, za prawa natury. Dla niego jest pewnikiem, że ludzkość szła tak, jak to wykazał Marx i iść tak dalej będzie. Za najwyższą prawdę uważa manifest komunistyczny.

On też dyktaturę proletarjatu Marxa bierze na serjo, nie jako stan, tylko jako konieczną konsekwencję całej nauki Marxa. Nie demokracja bowiem wypływa z materjalizmu dziejowego, ale absolutyzm w jakiejbądź formie, czy w formie dyktatury jednego czy całej klasy. Wprawdzie tak Marx, jak za nim Lenin mówią, że dyktatura to forma przejściowa, że po niej ma przyjść ten błogosławiony stan wolności wszystkich, gdzie zniknie wszelki ucisk i wyzysk — ale tu zaczyna się utopja, z którą niema co dysputować, można w nią tylko wierzyć, można eksperymentować i po doświadczeniach się przekonać, jak się świat już dziś dostatecznie przekonał. To tylko jednak da się wyprowadzić z materjalizmu dziejowego i z poglądu Marxa na własność, że, aby zaprowadzić ten nowy porządek, trzeba dyktatury, że nie można go przeprowadzić na drodze demokracji.

Lenin występuje dalej przeciw państwu, jako tworowi starego świata, potrzebnego do utrzymania ucisku mniejszości nad większością. — Demokraci — mówi — i socjaliści wyobrażają sobie przewrót socjalny w formie poddania się mniejszości uświadomionej większości — to utopja. Nauka Marxa prowadzi koniecznie do uznania politycznego panowania proletarjatu, jego dyktatury, t. j. władzy, której z nikim nie podzieli, opartej na sile zbrojnej mas. Ale wpierw trzeba zburzyć maszynę państwową. — Przytacza Marxa z nowego wydania Manifestu z 1872 r. „Komuna dowiodła, że klasa robotnicza nie jest w możności poprostu opanować gotową maszynę państwową i uruchomić dla swych własnych celów". Ale Lenin wysnuwa stąd wniosek odmienny, niż Kautzky. — Więc powinna ją zburzyć, rozbić zupełnie, a nie ograniczać się do jej opanowania. Przez co nastąpi rozbicie maszyny państwowej? Przez zawojowanie demokracji.

Lenin tłumaczy, że to jest demokracja burżuazyjna, która pozornie broni większości,

---

w żywe oczy wyparł się swoich słów i skłamał. Chłopca za ten czyn napewno zdegradowanoby i oddano do szeregu jako prostego żołnierza, gdyby nie dyrektor korpusu, który zataił całą sprawę i wydalił szafarza.

W osiemnastym roku życia skończył on korpus jako oficer i został przydzielony do arystokratycznego pułku gwardji. Cesarz Mikołaj Pawłowicz znał go jeszcze z korpusu i wyróżniał go w pułku przed innymi, tak, że wróżono mu rangę flügel-adjutanta. I Kasatski pragnął tego mocno nie tylko przez próżność, ale głównie z tego powodu, że jeszcze z czasów korpusu namiętnie, właśnie namiętnie kochał Mikołaja Pawłowicza. Podczas każdego przyjazdu Mikołaja Pawłowicza, a często do nich przyjeżdżał, kiedy wchodziła rzeźkim krokiem ta wysoka...

...figura w wojskowym surducie i potężnym głosem witała kadetów, Kasatski doznawał zachwytu zakochanego, takiego samego, jakiego doznawał kiedyś potem, gdy spotykał przedmiot swojej miłości. . Tylko miłosny zachwyt dla Mikołaja Pawłowicza był mocniejszy: chciał pokazać mu swoje bezgraniczne oddanie, poświęcić mu cobądź — wszystko — siebie całego. I Mikołaj Pawłowicz wiedział że wzbudza ten zachwyt i umyślnie go wywoływał. Bawił się z kadetami, otaczał się nimi, obchodząc się z nimi to po dziecinnemu, prosto, to po przyjacielsku, to uroczyście, majestatycznie. Po ostatniej historji Kasatskiego z oficerem, Mikołaj Pawłowicz nic nie powiedział Kasatskiemu, ale gdy ten podszedł do niego blizko, odsunął go teatralnym gestem i nachmurzywszy się, pogroził palcem, zaś potem odjeżdżając rzekł:

— Wiedz o tem, że mi jest wszystko wiadomem, ale niektórych rzeczy wiedzieć nie chcę. Ale one są tu.

Ręką pokazał na serce.

Kiedy zaś maturzyści-kadeci meldowali się mu, już nie wspominał o tem, powiedział jak zwykle, że mogą zawsze zwracać się wprost do niego, i żeby wiernie służyli jemu i ojczyźnie, on zaś zawsze zostanie ich pierwszym przyjacielem. Wszyscy jak zwykle byli wzruszeni, a Kasatski pamiętając o tem, co zaszło, płakał gorącemi łzami i ślubował wiernie ze wszystkich sił służyć ukochanemu cesarzowi.

Kiedy Kasatski wstąpił do pułku, matka jego z córką przeniosły się najpierw do Moskwy, a potem na wieś. Kasatski oddał siostrze połowę majątku, i to, co mu pozostało, zaledwie wystarczało aby się utrzymać w tym wytwornym pułku, w którym służył.

Zewnętrznie Kasatski sprawiał wrażenie najzwyklejszego młodego oficera gwardji, robiącego karjerę, ale wewnętrznie dokonywała się w nim skomplikowana i natężona praca. Praca ta dokonywała się od najmłodszych lat jego dzieciństwa,

a w gruncie rzeczy wyzyskuje ją na korzyść uprzywilejowanych.

Lenin wyprowadza dalsze wnioski z nauki Marxa — zniesienie państwa jest zniesieniem demokracji, obumieranie państwa obumieraniem demokracji.

Kautzky—powiada Lenin—powinien z Marxa nauczyć się, że „dyktatura jest to panowanie oparte na gwałcie, a nie na prawie. Dyktatura rewolucyjna proletarjatu jest panowaniem proletarjatu, zdobytem przez niego nad burżuazją, panowaniem nie związanem z żadnem prawem". Trzeba całą prawdę pokazać: Idzie o to, czy pokojowy, czy gwałtowny przewrót. Kautzky nie chce gwałtownego przewrotu, a Marx uważał go za konieczny. Gwałtowny przewrót jest związany z dyktaturą. Kautzkiego nazywa Lenin marzycielem, że myśli o demokracji. Na innem miejscu wyraża się jeszcze silniej: „Nie może być równości faktycznej, dokąd się nie usunie możności ucisku jednej klasy przez drugą. Gdy się usunie w jednym kraju, będzie jeszcze w drugim. A wierzyć, że te rzeczy dadzą się usunąć przez stosunek większości do mniejszości, to głupstwo". Lenin mówi, że tak głupiego człowieka, który myśli o zmianie zupełnej ustroju świata przez demokrację, należałoby nawet nie dopuścić do publicznego mówienia. Przy wszystkich przewrotach jest opór — opór wszelkiemi siłami uprzywilejowanych — pokonać ten opór można tylko siłą.

Mamy tu więc dwa różne tłumaczenia tej samej teorji. Główna różnica między Kautzkym a Leninem w pojmowaniu dyktatury proletarjatu i roli państwa. To były rzeczy, o których nie można było teoretyzować, które musiało rozstrzygnąć życie. A życie pokazało już Kautzkiemu doświadczenia Lenina, wskutek tego mógł widzieć więcej, niż Marx i być od niego znacznie bliżej prawdy. Marx, który nie zobaczył konsekwencji swych teorji w świecie czynu, nie mógł ich tak ocenić, jak to uczynił Kautzky. Idąc w duchu jego, musiałby zmienić cały swój materjalistyczny pogląd na świat, pogląd, który dopiero w ostatnich czasach, po wielkich doświadczeniach ludzkości zupełnie zbankrutował. A życie pokazało, jak wyglądają konsekwencje teorji, powstałych w głowie wielkiego niewątpliwie człowieka, a w czyn wprowadzone przez fanatyka, gdy sprzyjały okoliczności. Lenin wykonywał teorję Marxa w praktyce, tak, jak ją rozumiał, ze wszystkiemi konsekwencjami, z całością poglądu na świat Marxa. Nowy porządek natrafił naturalnie na opór — zrazu na opór mniejszości, która najwięcej na nim traciła, potem na opór wieśniaków, nie mogących się wyrzec prawa własności ziemi, a wreszcie już na cichy opór wszystkich, prócz tych nielicznych, którzy ciągnęli z niego zyski. Opór stał się tak wielki, że trzeba było już nie dyktatury jednej klasy (bo i ta była niezadowolona), ale dyktatury wojska i komisarzy, aby porządek ten utrzymać. Trzyma się też tylko przemocą. Lenin więc wykazał, że miał rację, że przy demokratycznym ustroju nie można programu Marxa przeprowadzić. Po wielkiej przegranej powiedział: Pomyliłem się. Z tego wynika jeszcze jedna prawda dla historji, że program nie jest do przeprowadzenia. Pozostaje droga Kautzkiego, polegająca na demokratyzacji i rozwoju proletarjatu — droga dalekiej przyszłości — ale to jest droga nowa, nie marxowska w każdym razie.

Widzimy więc, że Marx przegrał na całej linji, że socjalizm dzisiejszy, z wyjątkiem skrajnej lewicy, nie idzie po jego linji. Czuje, że po tej linji grozi bankructwo, koniec. Czuje, że nie można stanowczo opierać się o materjalizm, skoro

---

pozornie różnorodna, lecz w istocie swej jedna i ta sama; polegała na tem, by w tem wszystkiem, do czego się wziął, we wszystkich sprawach osiągać doskonałość i powodzenie, wyzywające pochwały i podziw ludzki. Jeżeli to była nauka, brał się do niej i pracował do czasu, aż go chwalono i stawiano innym za przykład. Osiągnąwszy jedno — brał się za drugie. Takim sposobem osiągnął prymasostwo, tak też, zauważywszy kiedyś popełniony przez siebie niezgrabny zwrot w rozmowie francuskiej, owładnął tym językiem jak rodowitym: tak wreszcie zainteresowawszy się szachami, osiągnął doskonałość w tej grze jeszcze w korpusie.

Zawsze, prócz ogólnego powołania w życiu, polegającego na służeniu cesarzowi i ojczyźnie, miał on wytknięty zwykle cel, i jakby mały nie był ten cel, oddawał mu się cały i żył wyłącznie dla niego dopóty, dopóki nie osiągał go. Lecz z chwilą, gdy wyznaczony cel był osiągnięty, natychmiast zjawiał się w jego świadomości inny, który zmieniał poprzedni. Ta właśnie żądza wyróżnienia się i dlatego aby wyróżnić się osiągnięcia postawionego celu—wypełniała jego życie. Tak, gdy został oficerem, postawił sobie za cel możliwie największą doskonałość w opanowaniu znajomości służby i bardzo prędko stał się wzorowym oficerem, chociaż znowu obciążony tą wadą, jaką była jego niepowstrzymana gwałtowność, wplątująca go i w służbie w złe i szkodliwe dla powodzenia postępki. Potem, poczuwszy raz w świeckiej rozmowie swój brak ogólnego wykształcenia, postanowił wypełnić lukę, zasiadł do książek i dopiął tego, czego pragnął. Potem postanowiwszy zdobyć wybitne stanowisko w wyższych sferach towarzyskich, nauczył się doskonale tańczyć i bardzo prędko dopiął tego, że był zapraszany na wszystkie wielkoświatowe bale i na niektóre przyjęcia. Lecz to stanowisko nie dało mu zadowolenia. On przywykł być pierwszym, a w tej dziedzinie daleko mu było do tego.

Wyższe towarzystwo składało się wtedy, a myślę że wszędzie i zawsze składa się, z czterech gatunków ludzi: 1) z ludzi bogatych i będących ludźmi dworu; 2) z ludzi niebogatych, lecz urodzonych i wyrosłych przy dworze; 3) z ludzi bogatych pnących się do dworu i 4) z ludzi niebogatych i nie będących ludźmi dworu lecz pnących się do jednych i drugich. Kasatski nie należał do tych pierwszych; przyjmowano go z ochotą w ostatnich dwuch sferach. Nawet wstępując w świat, postawił sobie jako cel nawiązanie stosunku z kobietą ze świata i nieoczekiwanie dla samego siebie dopiął wkrótce tego, lecz niebawem przekonał się, że te sfery, w których się obracał, były sferami niższemi, że istniały sfery wyższe, i że w tych wyższych przydwornych sferach, chociaż go i przyjmowano, jednak był tam

on stanowczo przegrał w dziedzinie filozofji i w dziedzinie życia. Świat szuka nowych ideałów, opartych o nowe prawdy. Dlaczegoż więc jeszcze tak uparcie socjaliści wszystkich odcieni powołują się na Marxa?

Jakiekolwiek praktyczne przyczyny tego przyjmiemy, jest to w każdym razie świadectwo ubóstwa. Trudno, żeby człowiek myślący nie zdawał sobie sprawy z tego, że to, co głosił Marx, czego chciał Marx, a co głosi dziś socjalizm prawicy, to dwie różne rzeczy.

Stąd dwie konsekwencje. Albo to jest zrozumienie, że nowy porządek świata nie da się oprzeć o ustrój socjalny, albo że wprowadzenie tego porządku to jest dopiero muzyka dalekiej przyszłości, do której trzeba wiele pracy, wiedzy— że słowem trzeba przygotować człowieka. Więc nic z tej drogi, którą szedł Marx Opieranie się o niego prawicy socjalistycznej może być tylko albo łudzeniem mas, albo niewiarą w socjalny porządek świata — może u najgłębszych teoretyków jest szukaniem nowych ideałów przy oparciu się o powagi stare.

Z tego, co pisze Kautzky, widać smutne: Za wcześnie. — Jeszcze raz pomylił się człowiek, gdy chciał wprowadzać ten ustrój, o jakim marzyli utopiści wszystkich wieków od Platona i wcześniej. — Jeszcze za wcześnie. Dopiero musi się przygotować pragnienie człowieka do takiego ustroju, musi się przygotować podstawy moralne. Inny, lepszy musi być człowiek, aby ten ustrój zaprowadził go wyżej. A może wogóle ten ustrój nie wyzwoli uciskanego człowieka. Może zupełnie innych dróg szukać trzeba, cel zawsze zostanie ten sam. Ale cel ten sam miał przecież nietylko socjalizm.

Byłaby ta walka teorji toczyła się jeszcze wiele lat — pisanoby o socjalizmie i komunizmie wielkie tomy bez wielkiego pożytku dla świata. Tworzonoby dużo teorji, które robiłyby większy lub mniejszy zamęt w świecie czynu, zależnie od siły słowa. Działoby się to wszystko, gdyby nie historja. Ta stara, najmądrzejsza mistrzyni życia rzekła swoje słowo: A teraz wam pokażę, jak wygląda wasza teorja w życiu, co z niej ono uczyni. Tobie, któryś uchodził za olbrzyma duchowego, pokażę, jak się strasznie pomyliłeś. Tylko, że ta nauka będzie świat kosztować b drogo. Ten teoretyk, gdyby żył jeszcze, widząc to, możeby zapytał: Czy wszystko dobro, które sprawiło moje słowo, zaważy choć trochę wobec tego morza męki i okropności?

Cóż czyni świat z największych naszych zamierzeń?

I wiem, że historja nie mogłaby odpowiedzieć nic innego, jak tylko to: Drogo musi człowiek okupywać prawdę.

Dr. Stefanja Tatarówna.

MARJAN DUBIECKI

z powodu 85-ej rocznicy urodzin.

II. (Ciąg dal.)

W Smolawie Marjan Dubiecki nie pozostał bezczynnie, lecz prowadził łącznie z bratem pracę oświatową wśród ludu, oraz agitację polityczną wśród okolicznego ziemiaństwa. Z tego to czasu pochodzi przekład pieśni „Boże coś Polskę“, na mowę tamtejszego ludu, dokonany przez Alexandra Dubieckiego: „Prosym Tia Boże i Twojego Syna,niech wsi znowu budem jak jidna rodyna“— śpiewał lud wołyński. Obaj bracia należeli do organizatorów słynnego zjazdu horodelskiego. Na zjazd ten — 10 października — pospieszyli z gronem młodzieży okolicznej. Po pewnych trudnościach, mimo obostrzeń policyjnych, do-

---

obcym; obchodzono się z nim uprzejmie, lecz całe to obejście świadczyło o tem, że są *swoi*, a on nie swój. I Kasatskiemu zachciało się być tam *swoim*. Po to trzeba było zostać albo fligeladjutantem, — i został nim, — albo ożenić się w tej sferze—i on postanowił, że to uczyni. Wybrał dziewczynę, piękność przydworną, będącą nie tylko *swoją* w tem towarzystwie, do którego się chciał dostać, lecz taką, do której starali zbliżać się wszystkie wysoko i mocno postawione w wyższej sferze osoby. Była to hrabianka Korotkowa. Kasatski nie tylko jedynie dla karjery zaczął asystować Korotkowej,—była ona nadzwyczaj pociągająca i prędko się w niej zakochał. Z początku w stosunku do niego była ona wyjątkowo chłodna, lecz potem wszystko nagle się zmieniło, stała się uprzejma, a jej matka nader usilnie zapraszała go do siebie.

Kasatski oświadczył się i został przyjęty. Był zdziwiony łatwością, z jaką dopiął takiego szczęścia i czemś zupełnie wyjątkowem, dziwnem w sposobie bycia i matki i córki. Był bardzo zakochany i zaślepiony, i dlatego nie zwrócił uwagi na to, o czem wiedzieli prawie wszyscy w mieście: że jego narzeczona była przed rokiem kochanką Mikołaja Pawłowicza.

II.

Na dwa tygodnie przed wyznaczonym terminnem ślubu Kasatski siedział w Carskiem Siole, w willi u swojej narzeczonej. Był gorący majowy dzień. Narzeczeni pospacerowawszy po ogrodzie siedli na ławeczce w cienistej alei lipowej. Mery była wyjątkowo piękna w swej białej, muślinowej sukience. Zdawała się być uosobieniem niewinności i miłości. Siedziała, to pochylając głowę, to spozierając na pięknego olbrzyma, który wyjątkowo delikatnie i ostrożnie rozmawiał z nią, każdem swem słowem, gestem, bojąc się obrazić, pokalać anielską czystość narzeczonej. Kasatski należał do rzędu tych ludzi czterdziestych lat, których już niema obecnie — do ludzi, którzy świadomie rozgrzeszając samych siebie i wewnętrznie nie potępiając swobody stosunków płciowych, od żony żądali jednakże idealnej, niebiańskiej czystości i tę samą niebiańską czystość widzieli w każdej pannie swojej sfery, odpowiednio je traktując.

Taki pogląd był wielce fałszywy i szkodliwy przez wzgląd na rozwiązłość, na jaką pozwalali sobie dzięki niemu mężczyzni; lecz na kobiety pogląd ten, ten zasadniczo różniący się od poglądów teraźniejszej młodzieży, upatrującej w każdej kobiecie - pannie samicę — pogląd taki sądzę, wpływał korzystnie. Panny widząc takie ubóstwianie, starały się mniej lub więcej być podob-

jechali szczęśliwie do Horodła i położyli swe podpisy na akcie zjednoczenia. We wspomnieniach swych („Z przeszłości" Kijów 1910) kreśli Dubiecki podniosły nastrój i obraz owego patrjotycznego obrzędu. Zaraz po horodelskiej manifestacji, na którą zjechały liczne delegacje z najodleglejszych stron kraju, rozpoczęły się represje i szereg osób, z pośród podejrzanych o uczestnictwo w zjeździe lub nawet sprzyjanie z manifestującymi, deportowano bez sądu na zesłanie.

22 października aresztowano obu Dubieckich i uwięziono narazie w Dubnie. Za bezpośrednią przyczyną podano w akcie oskarżającym fakt wzniesienia u siebie na wsi krzyża pamiątkowego. Po paru dniach wysłano ich kibitką w drogę do Wiatki. Jechali młodzi wygnańcy starym, utartym od 1794 roku, szlakiem — przez Żytomierz, Mozyrz, Smoleńsk, Moskwę, Jarosław na miejsce zesłania, gdzie stanęli po miesięcznej podróży—21 listopada. Po dwóch miesiącach przeniesiono ich w stepy Kipczackie—do Tambowa, gdzie spotkali kilku rodaków ze swych stron. Przybyli tu następnie na paromiesięczne zesłanie Alexander i Henryk Krajewscy. W lipcu 1862 r dopiero zostali obaj Dubieccy zwolnieni. „Nie przeczuwając wcale, iż na horyzoncie ukazuje się zapowiedź wielkiego kataklizmu", marzył Dubiecki o dalszej pracy pedagogicznej. W tym duchu robił starania w Petersburgu, gdzie wprost z Tambowa się udał. W dalszej drodze powrotnej zatrzymał się dni kilka w Wilnie. Stąd przez Lidę, Nieśwież, Pińsk, Żytomierz powrócił na rodzinny Wołyń. Tu odrazu dostał się w wir pracy konspiracyjnej, która ogarnęła już była kraj cały szeroką falą, biegnącą z Warszawy.

Zaraz po powrocie, jako dawny członek związku Trójnickiego i działacz stronnictwa chłopomanów skomunikował się z przeobrażoną już organizacją. Na czele całego ruchu stał wówczas pólkownik Edmund Różycki, który nadał mu kierunek wybitnie niepodległościowy i rewolucyjny. Przedewszystkiem stronnictwo zostało przez niego zreorganizowane: praca cała na Rusiześrodkowała się dokoła trzech Komitetów Rewolucyjnych, kijowskiego w Kijowie, żytomierskiego — w Żytomierzu i podolskiego w Kamieńcu. Na czele komitetów stał „Wydział Rusi" z trzech członków złożony: Różyckiego, Kopernickiego i Alexandra Jabłonowskiego. Wydział Rusi i jego komitety otwarcie już prowadziły akcję przygotowawczą do walki zbrojnej, zbierały fundusze, skupowały i sprowadzały z Galicji broń.

Dubiecki odrazu stał się najbliższym współpracownikiem Różyckiego. W początkach jesieni udają się obaj do Warszawy, jako pełnomocnicy całego obozu rewolucyjnego na Rusi dla ściślejszego zespolenia akcji na Kresach z akcją w Królestwie i oficjalnego podporządkowania się t. zw. Komitetowi Centralnemu, posiadającemu atrybuty władzy naczelnej. Sporządzono wtedy akt złączenia na następujących mniej więcej zasadach: 1) Ruś będzie miała odrębną autonomiczną władzę rewolucyjną, równą w swych prawach na podległym terenie z Komitetem Centralnym w Warszawie. 2) Wszystkie fundusze, zebrane na terenie, Rusi mają być oddane na potrzeby miejscowe. 3) Komitet Centralny nie będzie wysyłać swych agentów na Ruś. 4) Komitet rewolucyjny p. n. wydziału Rusi ma na celu przygotowywać powstanie zbrojne i obowiązuje się we wszystkich sprawach porozumiewać się z Komitetem Centralnym. 5) Komitetowi Centralnemu przysługuje prawo inicja-

---

ne do bogiń. Takiego zdania o kobietach był i Kasatski i pod tym kątem patrzał na narzeczoną. Dnia tego był on wyjątkowo zakochany w swojej narzeczonej i nie wyczuwał najmniejszego zmysłowego pociągu do niej, a przeciwnie z roztkliwieniem patrzył na nią, jako na coś niedoścignionego. Powstał, wyprostował się i stanął przed nią oparłszy się obu rękami na szabli.

— Teraz dopiero pojąłem całe to szczęście, jakiego może dostąpić człowiek! I to pani, to ty — powiedział nieśmiało się uśmiechając, — dałaś mi to pojąć!

Był on w tym okresie, kiedy „ty" nie stało się jeszcze przyzwyczajeniem i gdy on stojąc niżej od niej pod względem moralnym, bał się mówić „ty" do tego anioła.

— Poznałem siebie zawdzięczając.. tobie; dziś wiem że jestem lepszy, niż sądziłem.

— Dawno wiem o tem. Za to właśnie pokochałam pana

W pobliżu odezwał się słowik, świeże listowie poruszyło się pod wpływem nadbiegłego wietrzyku.

Wziął jej rękę i pocałował ją, a łzy napłynęły mu do oczu. Zrozumiała, że on dziękuje jej za to, co powiedziała, że pokochała go. Odszedł parę kroków, pomilczał, potem wrócił i usiadł.

— Pani wie, ty wiesz... No, wszystko jedno. Zbliżyłem się do ciebie nie bezinteresownie, chciałem nawiązać stosunki ze światem, lecz potem... jak nic nie warte stało się to w porównaniu z tobą, gdy ciebie poznałem. Ty się za to nie gniewasz na mnie?

Nie odpowiedziała i tylko dotknęła ręką jego ręki.

Zrozumiał, że to znaczyło: „nie, nie gniewam się".

— Wszak powiedziałaś oto, — zamilkł strapiony, bowiem wydało mu, że to, co powie, będzie zbyt śmiałe, — powiedziałaś, że pokochałaś mnie, ja wierzę, ale wybacz mi, jest coś pozatem, co niepokoi cię i przeszkadza. Co to jest?

„Tak, teraz albo nigdy — pomyślała; — wszystko jedno, dowie się. Lecz teraz nie odejdzie. Ach, gdyby odszedł — byłoby to okropne!".

I miłosnem wejrzeniem ogarnęła jego wielką, szlachetną, potężną postać. Kochała go w tej chwili bardziej. . nie zamieniłaby go na tamtego.

— Posłuchaj pan, ja nie mogę być fałszywą. Muszę powiedzieć wszystko. Pan pyta — co? To, że kochałam.

Błagalnym gestem położyła swą rękę na jego.
Milczał.

— Pan chce wiedzieć kogo? Tak jego...

— My wszyscy go kochamy, wyobrażam, pani w instytucie...

— Nie, później. To była namiętność, która minęła. Lecz ja muszę powiedzieć.

tywy przedsięwzięć i akcyj rewolucyjnych. Komitet Rusi natomiast obowiązuje się ściśle współdziałać z władzą naczelną wreszcie, 6) Komitet Centralny obowiązuje się we wszystkich rozporządzeniach liczyć się nietylko ze stosunkami Królestwa ale i warunkami miejscowemi Rusi. Dla wykonania tych punktów, a szczególnie ostatniego, który wymagał dokładnej znajomości stosunków na odległych Kresach, przy Komitecie Centralnym ma stale przebywać przedstawiciel Rusi, jako łącznik i rzeczoznawca stosunków miejscowych. Widocznie, pomimo młodocianego wieku wyróżniał się Dubiecki z pośród spiskowców wybitniejszemi zdolnościami, skoro zaraz po wybuchu powstania zgodnie z wyżej streszczoną umową, został przez Wydział Rusi mianowany reprezentantem prowincji w Rządzie Narodowym. Nominację otrzymał z rąk członków Wydziału Rusi doktora Izydora Kopernickiego i Alexandra Jabłonowskiego jeszcze w grudniu, tegoż roku. Punkty porozumienia wyszczególnione wyżej określać miały zakres pracy i kompetencje jego na tym stanowisku.

Tem nie mniej sam wybuch powstania, przyśpieszony jak wiadomo wypadkami, niezależnemi od Komitetu Centralnego, pomimo zastrzeżonego ścisłego współdziałania, zaskoczył niejako Wydział Rusi, nieprzygotowany jeszcze całkowicie do otwartej wojny. Przypuszczano nawet, że nim będzie można walkę rozpocząć, wygaśnie ona zupełnie w Królestwie. Na szczęście stało się inaczej. W każdym razie jednak powstanie w Królestwie narazie nie mogło liczyć na pomoc Rusi. Dzięki wysiłkom i energji członków Wydziału i poszczególnych Komitetów, a zwłaszcza Różyckiego, mianowanego zaraz po wybuchu przez Komitet Centralny generałem — przygotowania dojrzały do tego stopnia, iż już w początkach maja walka rozgorzała i na tych terenach.

Wybuch powstania na Rusi nie zastał już Dubieckiego na miejscu, bowiem wczesnym rankiem 3-go maja opuszcza nazawsze strony rodzinne, żegnany przez Różyckiego i udaje się z Żytomierza przez Kijów w drogę do Warszawy, dla objęcia nowego stanowiska przy Komitecie Centralnym. Wziózł on ze sobą prócz raportu gen. Różyckiego o stanie pracy, dokładnie opracowany plan początkowego działania wojennego.

Stanął na miejscu 8 maja 1863 roku. Przybył na moment ważny. Dotychczasowy Komitet Centralny, działający pod mianem Rządu Tymczasowego, 10 maja ogłosił się właśnie stałym Rządem Narodowym. Jednocześnie Rząd wydał parę zasadniczych enuncjacyj, które dacie tej nadają znaczenie znamienne. Tegoż dnia ukazał się Manifest, zawierający niejako zasady polityczne władzy najwyższej, a w trzy dni później ogłoszono odezwę, wzywającą do wytrwania w walce, a będącą odpowiedzią na ogłoszoną właśnie amnestię dla powstańców, którzy broń złożą, i grożącą daleko idącemi represjami dla opornych.

Dubiecki nie odrazu otrzymał stałe i ściślej określone stanowisko, pomimo że charakter jego i kompetencje były już ustalone przez jesienne porozumienie. Był to okres najcięższych bodaj rozterek wewnętrznych w łonie organizacji spiskowej, których następstwem było osłabienie władzy naczelnej, pomimo pozorów jednolitości, i niemożność powzięcia stalszego planu działania. Pod koniec maja umiarkowany Rząd dotychczasowy musiał ustąpić pod naciskiem żywiołów radykalniejszych t. zw. Rzą-

---

— No więc cóż?

— Nie, ja nie tak prosto..

Zakryła twarz rękoma.

— Jak? Pani oddała się jemu?

Milczała.

— Kochanką.

Milczała.

Zerwał się blady jak śmierć, z drgającemi policzkami stał przed nią. Przypomniał sobie teraz, jak...

— Boże! Com ja narobiła! Stiwa!

— Proszę nie dotykać, proszę nie dotykać mnie. O, jak boli!

Zawrócił się i poszedł ku domowi.

W domu spotkał matkę.

— Co panu, książę? Ja...

Zamikła, spojrzawszy na jego oblicze. Krew nagle napłynęła mu do twarzy.

— Pani wiedziała o tem, i mną chciała ich zasłonić. Jeśliby panie nie były kobietami. — wykrzyknął, podniósłszy nad nią swą wielką pięść i zawróciwszy wybiegł.

. . . .

Nazajutrz zaś poprosił o urlop i dymisję, pozorując to chorobą i by nikogo nie widzieć, wyjechał na wieś.

Lato spędził w swoim majątku, porządkując swe sprawy. Gdy zaś lato skończyło się, nie powrócił do Petersburga, lecz pojechał do klasztoru i wstąpił do nowicjatu.

Matka pisała doń, odradzając robienie tak stanowczego kroku. Odpowiedział jej, że powołanie Boże wyższe jest od wszystkich innych względów, a on czuje to powołanie. Jedynie siostra, równie dumna i ambitna jak brat, razumiała go. Rozumiała, że on został mnichem po to, aby stać się wyższym od tych, którzy chcieli mu okazać, że są wyżsi od niego.

I ona rozumiała go istotnie. Wstępując do klasztoru, stwierdzał tym czynem, że pogardza wszystkiem, co zdawało się być tak pełnem wagi zarówno dla innych jak i dla niego samego w okresie, gdy służył w pułku, i że wznosił się na taką wyżynę, z której mógł zwysoka spozierać na tych ludzi, którym przedtem zazdrościł. Lecz nie wyłącznie to jedno uczucie, jak sądziła jego siostra Baśka, kierowało nim. Było i inne: szczerze-religijne uczucie, którego nie znała Baśka, a które łączyło się z uczuciem dumy i żądzą pierwszeństwa. Rozczarowanie w stosunku do Mery (narzeczonej), którą poczytywał za takiego anioła, i obelga były tak wielkie, że przywiodły go ku rozpaczy, a rozpacz ku czemu? — ku Bogu, ku wierze dziecinnej, która nigdy nie była w nim zachwianą.

(C.D.N.) Przełożył **Xawery Glinka**.

dowi „prawników“, którzy znów po kilkunastodniowym władaniu, 14 czerwca, ustąpił Rządowi z Karolem Majewskim na czele.

W składzie tego Rządu znajdujemy już Marjana Dubieckiego, jako kierownika autonomicznego Zarządu Rusi, z tytułem sekretarza,— obok równoległej funkcji Wacława Przybylskiego, jako sekretarza Litwy. Obaj sekretarze autonomicznych „zarządów“, aczkolwiek formalnie w skład Rządu wchodzili i brali z urzędu udział we wszystkich jego posiedzeniach, jednakże mieli za sobą tylko prawo głosu doradczego (vox constultatiava), decydować (vox decisiva) mogli tylko w sprawach swych prowincyj. W charakterze tym Dubiecki zasiadał we wszystkich następnych składach Rządu Narodowego. Jedynie tylko podczas trzytygodniowych żądów t. zw. „wrześniowców“ wstrzymał się od bliższych z nimi stosunków.

Odtąd całkowicie oddał się pracy swego „zarządu“. A nie była to praca lekka. Jako jedyny łącznik między Rządem a swoją prowincją, koncentrował w swem ręku wszelkie sprawy organizacyjne i polityczne Rusi. Z drugiej strony wszystkie zarządzenia władzy centralnej w tymże zakresie leżały na jego głowie. Pozatem przy częstych przesileniach rządowych, w ciężkich warunkach konspiracji, w czasie, gdy wszystko zdawało się rwać w strzępy i rozpadać, — utrzymać autorytet władzy, zachować zewnętrzną jednolitość i ciągłość działania było niezwykle trudno. Należało wewnętrzne rozterki ukryć, ażeby nie wywierały demoralizującego wpływu na sieć organizacyjną kresów, narażoną tam bardziej niż gdzieindziej na zagładę. „Sekretarz Rusi — pisze o sobie Dubiecki — sam mocno boleiąc nad stanem rzeczy, co przed okiem jego przesuwał się, dalekim był nadzwyczaj od chęci komunikowania naczelnym władzom swej prowincji o przewrotach i burzach domowych...“ Jeżeli powstanie na Rusi utrzymało się tak długo i dało tyle dowodów poświęcenia, nie było to bez zasługi Dubieckiego, który swym taktem potrafił wobec swych mandatarjuszy ukryć wiele zzakulisowych rozterek władzy naczelnej w Stolicy.

Tymczasem na Rusi wypadki biegły szybko. Ogólne powstanie naznaczone było na dzień 8 maja, w którym to dniu miało przekroczyć granicę galicyjską parę partyj powstańczych, a przedewszystkiem duża, pięciotysięczna generała Wysockiego. Ta ostatnia, doskonale uzbrojona i wyekwipowana, miała ruszyć w teren między Beresteczkiem a Zbarażem i następnie połączyć się ze skoncentrowanymi pod Zwiahlem powstańcami. Już w początkach kwietnia Różycki w porozumieniu z Wysockim opracował dokładny plan działania i w konsekwencji rozesłał odpowiednie instrukcje do powiatowych organizacyj. Plan ten przewidywał dwie koncentracje sił powstańczych, które zaraz połączyć się miały w jedną dużą partję. Jedna, z pieszych oddziałów powiatów: Żytomierskiego, Owruckiego i Zwiahelskiego, miała uderzyć na Zwiahel, gdzie stacjonowała załoga rosyjska, z baterji i kompanji piechoty złożona; a następnie, przyjąwszy olbrzymie zwiahelskie lasy za bazę operacyjną, rozpocząć dalszą akcję zaczepną; druga — z pieszych oddziałów powiatów Starokonstantynowskiego, Równieńskiego, Dubieńskiego, Ostroskiego i Łuckiego, miała opanować teren między Rożyszczami i Maniewiczami, będący niejako pomostem ku południowym powiatom Mińszczyzny, a następnie podążyć błotami wzdłuż Prypeci ku tym samym lasom zwiahelskim. Ponadto powiaty Kamieniecki, Latyczowski, Płoskirowski i Uszycki miały wspomóc oddział Gołuchowskiego, z 400 piechoty i 300 jazdy złożony, który jednocześnie z Wysockim miał przejść z Galicji na Podole. Wreszcie powiaty Mohylowski, Jampolski i Lityński miały powstać dopiero po pierwszych sukcesach Gołuchowskiego ewentualnie po przybyciu partii półkownika Miłkowskiego, która spieszyła ku granicom Podola z południa od Turcji przez Rumunje. Co do Kijowszczyzny, to ta winna była powstać dopiero po wyjaśnieniu się nieco sytuacji na całym terenie walki, będąc na tę ewentualność każdej chwili gotowa. Sam Różycki na czele oddziału jazdy, zebranego z całego obszaru Rusi w południowej części powiatu Żytomierskiego, miał ruszyć naprzeciw Wysockiego, wspierając jednocześnie manewrami akcję na Zwiahel. Taki to plan zawiózł Dubiecki do Warszawy dla przedstawienia Komitetowi Centralnemu. Zresztą, nim czynniki w Stolicy mogły jaki sąd o nim wydać, stał się już nierealnym, bowiem, jak zwykle w podobnych warunkach, przeważne składniki całości zawodzą. Nie miejsce tu przedstawiać przebiegu powstania na Rusi, jeśli zastanowiliśmy się dłużej nad powyższym planem, to jedynie przez wzgląd na współdziałanie w nim Dubieckiego. W dniu naznaczonym powstały tylko powiaty Owrucki, Żytomierski, Zwiahelski, Zasławski, Starokonstantynowski i Łucki. Z innych powiatów małe tylko grupy spiskowców ściągnęły. Cała zatem akcja następna była zależna zgoła od innych sił i nowych okoliczności powstałych po wybuchu. Zresztą oddana ona była w zupełności gen. Różyckiemu, któremu władze centralne pozostawiły swobodę działania. Do Rządu Narodowego i Dubieckiego należała wyłącznie strona polityczna walki.

(C. d. n.) **Stefan Pomarański.**

SANACJA FINANSÓW AUSTRJI.

(Dokończenie).

II.

Zarządzenia na czas przejściowy do chwili wypłaty kredytów na podstawie uchwał genewskich i utworzenie nowego banku emisyjnego.

Aby zapewnić sobie potrzebne środki na opędzenie kosztów gospodarki państwowej aż do chwili, kiedy rząd austrjacki dysponować będzie pierwszemi ratami kredytów zagranicznych w myśl programu ustalonego w Genewie, rząd ten uzyskał w połowie października r. z. od Nationalratu pełnomocnictwo do zaciągnięcia pożyczki w wysokości 50 miljonów koron w złocie, zaś 3 listopada r. z. przyjął Nationalrat ustawę, upoważniającą rząd do zaciągnięcia dalszego kredytu w wysokości 80 miljonów ko-

ron w złocie. Rząd dysponuje więc upoważnieniem kredytowem w łącznej wysokości 130 miljonów koron w złocie. Suma ta ma być pokrytą na podstawie planu, wypracowanego przez ministra skarbu *Segura*, w porozumieniu z delegatami Ligi Narodów w drodze krótkoterminowych pożyczek. Jako gwarancja dla tych pożyczek mają służyć na podstawie upoważnienia delegatów Ligi Narodów dochody z ceł i z monopolu tytuniowego. Konsorcjum wielkich banków austrjackich zobowiązało się, na podstawie tego zabezpieczenia, wzamian za bony skarbowe, dostarczyć rządowi 30 miljonów w złocie, względnie w pełnowartościowych dewizach zagranicznych, oraz objęły gwarancję za umieszczenie bonów na dalszych 20 miljonów koron w złocie na targu wewnętrznym. Ponadto oświadczyły banki austrjackie gotowość pozyskania zagranicznych subskrybentów na bony skarbowe w wysokości pozostałych 80 miljonów w złocie. Jako gwarancja dodatkowa dla tych 80 miljonów, mają służyć niezużyte kredyty francuskie, włoskie i czechosłowackie, które złożone są w formie dewiz zagranicznych w wysokości 50 miljonów koron w banku austro-węgierskim, oraz suma 15 miljonów koron w złocie, którą rząd austrjacki otrzymał w banku austrjacko-węgierskim tytułem zaliczki na udział Austrii przy ostatniej likwidacji tego banku.

Delegacja Ligi Narodów obiecała rządowi austrjackiemu poczynić wszelkie starania, aby ułatwić mu ulokowanie wspomnianych wyżej bonów skarbowych w wysokości 80 miljonów koron w złocie za granicą.

Wszystkie te kredyty mają być spłacone z pierwszej raty przyszłych pożyczek międzynarodowych.

Delegacja Ligi Narodów podnosi w osobnym komunikacie wielkie znaczenie wspomnianej wyżej uchwały parlamentu austrjackiego, wskutek której rząd austrjacki nie będzie więcej zmuszony do emisji nowych banknotów. Uchwała ta stanowi, zdaniem delegatów Ligi, pierwszy początek normalnego okresu w gospodarce finansowej państwa austrjackiego. Rząd ma nadzieję, iż już w miesiącu grudniu nie będzie używał prasy do drukowania banknotów na pokrycie wydatków państwowych, i że powyższe operacje kredytowe spowodują *deflację* także i przez to, iż dewizy zagraniczne, dostarczone rządowi wzamian za bony skarbowe, będą mogły być użyte częściowo na regulowanie targu dewizowego. Z drugiej strony jednak, nie można pominąć, iż złoto i dewizy, które banki wiedeńskie oddają obecnie rządowi wzamian za bony skarbowe, przeznaczone były pierwotnie na pokrycie kwoty, mającej stanowić kapitał zakładowy nowego banku emisyjnego. Projekt założenia tego banku odsunięty został na pewien czas na plan dalszy, zwłaszcza, iż Komitet finansowy Ligi Narodów zmienił gruntownie pierwotne plany, na których utworzenie tego banku miało się opierać. We wspomnianym wyżej protokule III-im uchwał genewskich, zobowiązał się rząd austrjacki zmienić pierwotny statut banku emisyjnego w następującym kierunku:

1) Kapitał zakładowy wynosić ma 30 miljonów franków szwajcarskich, zamiast dawniej przewidzianych 100 miljonów franków szwajcarskich. Komitet genewski jest zdania, że z uwzględnieniem organizacji banków emisyjnych innych państw, kapitał 30 miljonów franków może być uważany za dostateczny, gdyż nowy bank w charakterze centralnego kasjera państwowego zarządzać będzie wpływami z pożyczek zagranicznych i posiadać będzie w ten sposób dostatecznie silną pozycję na targu dewizowym.

2) Gwarancja państwowa za kapitał i dywidendę banku i zabezpieczenie tej gwarancji na wpływach z ceł ma odpaść, ponieważ według projektu sanacyjnego Ligi Narodów dochody z ceł mają służyć wyłącznie na zabezpieczenie międzynarodowych pożyczek sanacyjnych. Z chwilą przyjścia do skutku akcji pomocy finansowej dla Austrji, publiczność subskrybująca akcje banku emisyjnego nie będzie już przywiązywała, zdaniem Komitetu finansowego Ligi Narodów, tak wielkiego znaczenia do gwarancji państwowej odnośnie do kapitału bankowego oraz oprocentowania.

3) Nowy bank emisyjny musi być bezwzględnie uniezależniony od wpływów rządowych w kierunku udzielania państwu kredytów.

Projekt statutu nowego banku w przekształconej formie nie został wniesiony do parlamentu równocześnie z przedłożeniem o środkach dla odbudowania gospodarki państwowej, ponieważ okazała się potrzeba ustalenia pewnych szczegółów w porozumieniu z delegatami Ligi Narodów i na podstawie pertraktacji z wielkiemi bankami wiedeńskiemi.

Statut został d. 6.XI r. z. zupełnie wykończony i przedłożony parlamentowi. Nowy bank emisyjny rozpocząć ma swoje czynności w ciągu miesiąca grudnia. Zależne jest to od uskutecznienia wpłaty przynajmniej połowy kapitału akcyjnego, t. j. 15 miljonów w złocie w gotówce, podczas gdy druga połowa ma być wpłacona najdalej do sześciu miesięcy.

Rząd zamierza zebrać potrzebny kapitał równocześnie z wydaniem wspomnianych wyżej bonów skarbowych, o ile możności na targu wewnętrznym. Subskrybenci bonów skarbowych, którzy zdecydują się równocześnie subskrybować akcje nowego banku emisyjnego, otrzymać mają szereg ulg i udogodnień. Państwo, jako takie, nie ma uczestniczyć w subskrypcji akcji bankowych, nie ma też obejmować gwarancji za rezultat subskrypcji. Kapitał banku opiewać ma według definitywnej uchwały nie na franki szwajcarskie, lecz na korony w złocie. Minister Skarbu otrzymał ze sfer kompetentnych finansowych zapewnienie, iż przeważna część pierwszej połowy kapitału nowego banku już jest zapewniona, ponadto banki, które obejmują bony skarbowe rządu, mają udzielić rządowi zapewnienia, iż w chwili płatności tych bonów obrócą część zwróconych im przez rząd kwot na subskrypcję akcji banku emisyjnego. Rada generalna banku ma być wybierana przez Walne zgromadzenie. Zatwierdzenie ze strony rządu nie będzie wymagane. Natomiast w Radzie Generalnej na wzór banku emisyjnego Francji mają być reprezentowane

najważniejsze warstwy społeczne, a mianowicie: przemysłu, handlu, rękodzieła, rolnictwa i robotników.

Kurs przymusowy dla banknotów, które nowy bank ma emitować, zostaje nadal w mocy. Z chwilą ustanowienia przyszłej ustawowej relacji jednostki monetarnej do kruszcu walutowego i zredukowania długu państwa w banku do kwoty 30 miljonów koron w złocie, nastąpią wypłaty w monecie metalicznej. W tym celu bank starać się ma o zebranie odpowiedniego zapasu w kruszcu szlachetnym. Przepisy co do pokrycia banknotów za czas pełnej wypłaty kapitału akcyjnego aż do podjęcia wypłat gotowych są następujące: cały obieg banknotów, powiększony o zobowiązania natychmiast płatne, ma być w przeciągu pierwszych pięciu lat pokryty zapasem kruszcu, względnie walut i dewiz w stosunku 20 proc., podczas dalszych pięciu lat w stosunku 24 proc., w okresie następnych pięciu lat w stosunku 28 proc., później zaś w stosunku 33⅓ proc. Aż do podjęcia wypłat gotowych ma nowy bank emisyjny trzymać 25 milionów koron w złocie w głównych miejscach bankowych Europy i Ameryki w formie zapisów na dobro własne i depozytów.

Przywilej nowego banku trwać ma do końca roku 1942.

ZAGADNIENIE ZESPOŁU TEATRALNEGO.

(Po I zjeździe nauczycielstwa teatralnego w Warszawie).

Pędem ku bóstwu nazwał sztukę aktorską M. Limanowski w programowym swym referacie, wygłoszym na I zjeździe polskiego nauczycielstwa teatralnego. Pędem ku bóstwu i ofiarowaniem się mu całkowitem. Ale to ofiarowanie się nie może mieć charakteru czynu jednostki, lecz musi być aktem *zbiorowej woli*. Dlatego nie jedna lub kilka indywidualności stanowią o całości przedstawienia teatralnego, lecz świadomy celu, zgrany ze sobą zespół.

Myśl ta przewijała się poprzez wszystkie niemal przemówienia na zjeździe nauczycielstwa teatralnego, świadcząc, że aktorstwo polskie wykreśla całkowicie z terminologji istotnej sztuki teatralnej wyraz: wirtuozostwo jednostek, a dąży do coraz większego pogłębiania istoty zespołowości... A jednak, gdy rzucono na zjeździe hasło, że należy ducha gry zespołowej wpajać już w uczniów szkół dramatycznych, p. Wysocka, nie występując przeciw znaczeniu i istocie zespołu, podniosła przecież wątpliwości, czy hasło to da się w praktyce szkolnej przeprowadzić, gdyż zadaniem szkoły jest tylko urobienienie materjału.

W tem oświadczeniu wybitnej artystki widzę wielkie niedocenianie istoty zespołu, który należy wszczepiać w krew aktora właśnie już w okresie „urabiania materjału". Słusznie odpowiedziała p. Wysockiej, młoda, w duchu pracy zespołowej wychowywana artystka, p. Buczyńska, że dobrze jest, iż uczniowie szkół dramatycznych, po ukończeniu studjów, rozpraszają się po całej Polsce, gdyż w ten sposób mogą być rozsadnikami idei zespołowości w sztuce aktorskiej. W ten sposób mogą oni spełniać ważną rolę o celach zarówno artystycznych, jak i społecznych.

Na czem bowiem polega istota zespołu teatralnego? Najszersze określenie zespołu dał Goethe, mówiąc: „Tu działa poezja, malarstwo, śpiew i muzyka, tu działa sztuka aktorska. Czegóż tu niema? Gdy wszystkie te sztuki, pełne młodości i piękna, łączą się razem i *jaknajściślej z sobą współdziałają*, mamy wtedy święto, którego z żadnem innem nie można porównać". Na zjeździe nauczycielstwa teatralnego za mały położono nacisk na tak pojęty zespół teatralny, zwracając uwagę tylko na jedną jego cząstkę: na aktora. A przecież zespół aktorów, nie pozostający w ścisłem współdziałaniu z zespołem wszystkich innych czynników przedstawienia teatralnego, nie stanowi jeszcze istotnej, harmonijnej i artystycznej całości. I tylko Zelwerowicz w swym referacie podniósł znaczenie umiejętności *czucia* kostjumu, dekoracji, muzyki. W ogólnem jednak wrażeniu ze zjazdu, urósł aktor do roli jedynego bodaj istotnego motoru teatru, któremu podporządkowane są wszystkie inne czynniki przedstawienia z poezją włącznie. Jeżeli propaguje się zdrową ideę zespołowości teatralnej i to ujętą w tym duchu, że tem większe indywidualności, im lepsze zespoły i tem ściślejsze zespoły, im wybitniejsze indywidualności, to ideę tę należy rozciągnąć na całą platformę dziedziny twórczości teatralnej. W tym też kierunku powinno iść wykształcenie ucznia szkoły dramatycznej, który ma czuć się nietylko cząstką *zespołu aktorskiego*, ale cząsteczką *zespołu wszystkich czynników, składających się na przedstawienie teatralne.*

Na tem polega „ofiarowanie się bóstwu". Ofiara ta nie może być przypadkowa i nie może mieć charakteru zewnętrzności. Aktor musi bóstwu ofiarować się tak, jak tego bóstwo wymaga. Trzeba to umieć. P. Wittlin wspomniał na zjeździe o dramatach Kaisera, w których niema bohaterów, a działa jedynie zespół ludzi. Nie trzeba sięgać aż do literatury niemieckiej. „Wesele" jest typowym dramatem o charakterze zespołowym. Niema tutaj osoby bohatera. Jest nim cała współczesna Polska. Gdy dramat ten w nienajlepszych zespołach widziałem na scenie krakowskiej, wywierał na mnie, jak zresztą na wszystkich widzów, olbrzymie wrażenie. Wystawiony niedawno w Teatrze Polskim, był tylko — barwnem widowiskiem. Jakaż tego przyczyna? Czyż artyści tacy, jak Przybyłko-Potocka, Czaplińska, Słubicka, Kamiński, Zelwerowicz, Siemaszko, Leszczyński, Brydziński, Maszyński nie stanowią zespołu?

I tutaj znajdziemy częściową odpowiedź na pytanie, czemu „Wesele" nie odniosło w Teatrze Polskim sukcesu. Najlepsi nawet aktorzy nie stanowią zespołu teatralnego, jeżeli nie wierzą w bóstwo, któremu się ofiarują. Wyczuwało się to najdokładniej w ostatniej scenie „Wesela", którą *odegrano*, lecz w którą nie zdołano zupełnie *wczuć się*. Drugim powodem, dla którego „Wesele" nie wywarło należytego wrażenia, było to, że widz traktował to przedstawienie tylko jako widowisko. Nie było zespołu aktora i widza. Widz był obojętnym, przypadkowym świadkiem przedstawienia. Działa nań tylko zewnętrzna strona dramatu.

Zadaniem teatru jest nietylko danie czegoś, co jedynie w sobie jest zamknięte i skończone. Przedstawienie musi znaleźć żywy oddźwięk na widowni. Inaczej nie spełnia swego zadania. Do tego stanu dąży powoli, ale uporczywie Teatr Re-

duta. Teatr ten uczynił ze swego młodego personelu aktorskiego rodzaj zakonu, który żyje życiem *swego* teatru i tęskni jego tęsknotami. Drogą istotnego zżycia się zespołu dochodzi Reduta do coraz lepszych i poważniejszych rezultatów. Ostatniemi z nich są przedstawienia „Pastorałki“ w układzie Schildenfeld-Schillera i „Lekkoducha“ Szaniawskiego. W pierwszej wczuto się tak doskonale w środowisko chłopskie, grające pastorałki, że ten pierwotny ton rasowego artyzmu ujął za serca zarówno dzieci, jak i sceptycznych, starych cenzorów. A w „Lekkoduchu“ dano syntetycznie tak istotną prawdę przeżyć poszczególnych postaci, że niezatarte wrażenie pozostawiły po sobie role, interpretowane przez zarówno artystów tej miary, co Jaracz i Osterwa, jak i młodszych artystów, a nawet najmłodszych wychowanków Instytutu Reduty.

Czy osięgniątoby ten sam rezultat, gdyby zespół ten był jednolity tylko pod względem techniczno-aktorskim? Nie. *Wczuto się w obraz i muzykę przedstawień.* Był to zespół całkowity, a w rezultacie—to, co Goethe nazywa „świętem, którego z żadnem innem nie można porównać“.

Przejdźmy teraz do innej dziedziny teatralnej: do opery. Tutaj bardziej jeszcze niż w dramacie już sama forma przedstawień ma charakter zespołowy. Tutaj słowa bez muzyki, a muzyka bez słowa, nie mają znaczenia, złączone zaś dopiero z sobą stanowią całość utworu muzyczno-scenicznego. A jednak *widz* teatralny woli się w operze niejednokrotnie zmienić w *słuchacza.* Czemu? Bo zwykle słowo — wbrew kardynalnym zasadom sensu i logiki scenicznej — podporządkowane jest muzyce nietylko przy librecistę, nietylko (dzisiaj coraz rzadziej) przez kompozytora, uważającego słowo za zło konieczne, ale także i przedewszystkiem — przez śpiewaka. Śpiewak przeważnie nie uważa się za aktora. „Gra“ on o tyle tylko, o ile to jest konieczne. Używa on ciągle tych samych gestów, które mają zastępować — grę sceniczną. Śpiewak sądzi, że jeśli muzycznie dobrze wykona daną arję czy duet, spełnił już swe zadanie artystyczne.

W ostatnich czasach obserwujemy w tym względzie w naszej operze duży zwrot ku lepszemu i staranie o artystyczne uprawdopodobnienie tego, co się dzieje na scenie. Ale walka z dawnemi przyzwyczajeniami tak długo będzie trudna, jak długo na scenach operowych istnieć będzie t. zw. system gwiazd. To nie parodoks. Czyż może być coś—ze stanowiska estetyki teatralnej — potworniejszego, jak przedstawienie, na którem artysta, choćby najwybitniejszy, śpiewa — a nawet (dajmy na to) i gra dobrze, wysuwając swoje *ja* na plan pierwszy i nie harmonizując swej interpretacji z duchem gry reszty zespołu? Słusznie powiedział ktoś ua zjeździe szkolnictwa teatralnego, że wirtuoz nie jest artystą scenicznym. W teatrach dramatycznych coraz rzadziej spotykamy się z tymi wirtuozami — gwiazdami, ale opera jest często świadkiem ich występów. W jednej z polskich oper zaszedł wypadek, że śpiewano w trzech językach: po polsku, włosku i... rosyjsku. I nikt przeciw temu nie protestował. Niektórzy kierownicy i reżyserowie operowi tak mało przykładają wagi do znaczenia prawdy scenicznej i istoty zespołu, że np. szczegóły garderoby uważają za rzecz drugorzędną. W Krakowie zaszedł w ubiegłym roku wypadek, że cały zespół występował w „Trawiacie“ w strojach dzisiejszych, a gość z Warszawy w peruce i stroju XVIII wieku. Wybuchy śmiechu na widowni dowodziły, że bardziej zdaje sobie ona sprawę ze znaczenia istoty sztuki niż kierownictwo opery.

Dramat muzyczny, który twórcy jego pojmowali jako idealny *zespół* sztuk, stał się w rzeczywistości łupem muzyki, która o walorach jego powinna decydować, jak w dramacie mówionym decyduje słowo, ale nie powinna wysuwać się na plan pierwszy. Nowoczesna reżyserja operowa musi walczyć o wytwarzanie tej harmonji i tego zespołu, o którym kompozytor świadomie lub nie świadomie zapomniał.

Gdy śpiewak poczuje się jednostką w całości i uwierzy w to, że największy sukces osobisty jest czemś małem wobec całości przedstawienia, gdy zrozumie, że nietylko w duecie lub kwartecie musi zespolić się z resztą obsady, wtedy dopiero przedstawienie operowe mieć będzie charakter dramatyczny. Przykład tego mieliśmy w operze warszawskiej na przedstawieniu „Hagith“ Szymanowskiego, w którem artyści tej miary, co Mokrzycka, Dygas, Gruszczyński podporządkowali swoją wolę indywidualną woli zbiorowej, którą tak znakomicie kierował reżyser Popławski. I cóż się okazało? Że w zgranym zespole nie zatraciło się ich *ja*, przeciwnie, z tem większą wystąpiło wyrazistością. Poświęcenie więc dla dobra całości przedstawienia wychodzi artystom tylko na dobre.

Bezwarunkową prawdą jest, że ciągłe rozbijanie i rozpraszanie się personelu aktorskiego poszczególnych teatrów zabija ducha zespołowości. Widzieliśmy jak exodus najwybitniejszych sił teatru krakowskiego mścił się na wszelkich planach dyrektorów, których energję i pomysłowość, wobec rozbicia zespołu, była bezsilna. Doraźne sklecenie personelu nie może dać należytych rezultatów. Zżycie się zespołu nie może być przypadkowe i zastosowane do wymagań pewnych tylko dramatów. Musi ono wejść w krew aktorów. Musi mieć ten charakter, jaki ma zespolenie niepoprawnych idealistów z pod znaku Reduty, musi być istotne i głębokie. Zaproszenie Kamińskiego do odegrania roli Stańczyka w Teatrze Polskim dlatego, że był on ponoć świetnym przedstawicielem tej roli na scenie krakowskiej, świadczy dobitnie o tem, że istotne zrozumienie zespołu nie zapuściło zbyt głębokich korzeni nawet w tym teatrze, który niemal pierwszy w Warszawie starał się hasło zespołowości w czyn wcielać. Ten sam Stańczyk, dobry w jednym zespole i w odpowiednim nastroju, może się okazać całkiem zły w innym. Gra Kamińskiego w „Weselu“ dobitnie to okazała.

Dlatego sprzeciwiałbym się wykonaniu pozornie bardzo pięknego planu, rzuconego na zjeździe nauczycielstwa teatralnego przez p. Wittlina: aby stworzyć specjalny teatr, w którym kilka razy do roku danoby kilka przedstawień, pojętych w duchu zespołowym z udziałem artystów z całej Polski. Ten ad hoc organizowany zespół nie mógłby być z sobą istotnie zżyty. Zespołowość ta miałaby cechy przypadkowości a — co za tem idzie — i zewnętrzności. A to z pewnością nie leżało w intencjach tak wybitnego poety, jak p. Wittlin.

Zespół należy tworzyć od podstaw: jest on nietylko „atrybutem demokratyczności“, jak wyraził się jeden z referentów na zjeździe, nietylko spełnia rolę społeczną, ucząc pracy gromadnej, wspólnego czynu i solidarności ale jest decydu-

jącym czynnikiem artystycznym. Ponieważ regulatorem jego w teatrze dzisiejszym jest reżyser, więc z pracą reżysera powinien zaznajamiać się adept sceniczny niemal od początku. Gdy w szkołach dramatycznych rzeczywiście przeprowadzi się racjonalnie postawiony kurs studjum kultury, socjologji i estetyki sceny tudzież techniki widowiska, adept sceniczny zrozumie, kiedy będzie prawdziwym artystą: czy wtedy, gdy starać się będzie o przerośnięcie kolegów w zespole, czy też wtedy, gdy wszyscy dążyć będą do jednolitych wyżyn.

Wpajanie więc w niego zasad zespołowości jest głównem zadaniem szkoły dramatycznej. Przy „urabianiu materjału" aktorskiego musi nauczyciel mieć na względzie i rozbudzać cechy indywidualne ucznia. Bo im większa indywidualność aktorska, tem łatwiej nagnie się do zespołu i zrozumie jego znaczenie dla sztuki.

Wiktor Brumer.

Opera Ludomira Różyckiego „Casanowa".

Nowością tego sezonu operowego będzie opera komiczna Ludomira Różyckiego pod tytułem „Casanova". Treść tej opery zaczerpnięta jest z fantastycznych przygód włoskiego awanturnika Casanowy, autora znanych pamiętników, który to w niezliczonych podróżach po całym świecie zasłynął i w Polsce na dworze Stanisława Augusta, jako królewski sekretarz i bohater romantycznej przygody, która się skończyła pojedynkiem z hrabią Branickim o piękną włoszkę.

Autor libretta, p. Luljan Krzewiński, ujął fantastyczne przeżycia włoskiego Don Juana w ramy prologu i epilogu, rozgrywającego się na zamku hrabiego Waldsteina, czecha, gdzie Casanowa znalazł na stare lata przytułek i gdzie pisał swe słynne pamiętniki.

W prologu, w bibljotego księcia Waldsteina, stojący u progu śmierci, starzec Casanowa, wyśmiewany przez służbę, lekceważony przez pana zamku, znajduje ukojenie w pisaniu swoich miłosnych przeżyć. Przed jego wyobraźnią przesuwają się obrazy jego życia.

I oto w pierwszym akcie widzimy go w Turcji. W posiadaniu fałszywych papierów ambasadora weneckiego Casanowa zakrada się do haremu tureckiego paszy i przy świetle księżyca napawa swe oczy widokiem kąpiącej się Selmy, córki paszy, i jej towarzyszek. Uniesiony czarem piękności Selmy, wychodzi z ukrycia, dając wyraz swemu zachwytowi. Spostrzegają go eunuchowie i romantyczna przygoda niemal tragicznie się skończyć mogła, gdyby nie papiery weneckiego ambasadora. Ojciec pięknej Selmy wybacza śmiałość cudzoziemcowi, ale wzamian żąda, aby tenże przyjął mahometanizm i piękną poślubił. Casanowa na wszystko się zgadza. Odbywa się uczta, na której pasza oznajmia przybyłym zaręczyny córki. Wśród przybyłych przyjaciół znajduje się piękna wenecjanka Fatma, żona jednego z paszów. Casanowa, ujrzawszy piękną włoszkę, zapomina o swej tureckiej narzeczonej i, w chwili gdy muzeunin wzywa wiernych na modlitwę, a Casanowa zostaje sam na sam z Włoszką, zakochani porozumiewają się i uciekają do Wenecji.

Obraz drugi rozgrywa się w Wenecji w noc karnawałową. Casanowa cudem ucieka ze słynnego więzienia dei Piombi, gdzie odsiadywał swe liczne przewinienia i wpada do pałacu prefekta policji, słynnego w całych Włoszech z uwięzienia... Casanowy. Na głos rozbawionej służby zjawia się pani domu, Caton, kochanka prefekta. Poznaje w przybyłym dawnego kochanka, postanawia go ratować, przebiera go i przedstawia przybyłym na gondolach gościom, jako barona de Trevillac z Paryża. Zabawa wre. Casanowa ogrywa gości, winszuje prefektowi uwięzienia Casanowy i, w chwili, gdy goście odchodzą na ucztę, po miłosnej scenie z Caton, opróżniwszy szafy z kosztowności, ucieka z kochanką prefekta. Rozlegają się dzwony zwiastujące ucieczkę z więzienia Casanowy. Zdumionemu prefektowi wręczają list Casanowy, w którym to dziękuje za gościnę i za piękną Caton, obecną swą towarzyszkę. Szał karnawałowy ogarnia rozśmieszonych gości, a skompromitowany prefekt omdlewa z rozpaczy, gubiąc swą perukę.

Treścią obrazu trzeciego jest słynny pojedynek Casanowy na dworze króla Stanisława Augusta o śpiewaczkę włoską. Obraz rozpoczyna djalog dwu dworskich plotkarzy w jednej z sal pałacowych. Dyrektora teatru Ryksa i kompozytora Kamińskiego. Opowiadają sobie o skandalu w teatrze wynikłym pomiędzy Branickim i Casanową z powodu Caton. Zwierzenia przerywa wejście króla ze świtą i śpiewaczek, pośród których Caton śpiewa kantatę na cześć króla. Król zainteresowany pięknością Caton winszuje hrabiemu dobrego wyboru. Następuje menuet, w czasie którego Casanowa usiłuje wręczyć Caton miłosny liścik. Król odchodzi. Wzburzony Branicki zwraca się do Casanowy, nazywając go włoskim tchórzem, za co tenże wywołuje go na pojedynek.

Druga odsłona trzeciego aktu rozgrywa się w Łazienkach przed pojedynkiem. Branicki, w przeczuciu bliskiej śmierci, żegna się z życiem. Śmiertelnie raniony w pojedynku wybacza Casanowie, ofiaruje mu przed śmiercią kiesę ze złotem, doradzając mu, aby jaknajprędzej z Polski wyjechał.

Zdarzenia w Polsce są jednym z ostatnich w bogatem życiu Casanowy. Po tem następuje czas bezdomnej tułaczki, kresem której jest pobyt w bibjotece na zamku hrabiego Waldsteina. I oto w epilogu widzimy Casanowę kończącego pamiętniki. Świeca dogasa. W ostatnim porywie wspomnień, z okrzykiem „Caton" Casanowa pada martwy. Tragizm obrazu, śmierć osamotnionego don Juana potęguje wejście obojętnej służącej, wzywającej go do księcia.

„Panie Casanowa". Proszę do Księcia. Książę wzywa... nie żyje. „A pamiętniki... a pamiętniki... skończone".

E. Sas.

Ku uczczeniu 450-ej rocznicy urodzin MIKOŁAJA KOPERNIKA.

19 lutego r. b. przypada 450 letnia rocznica urodzin największego genjusza, jakiego Polska dotychczas wydała, a przed którym chyli czoło cały świat ucywilizowany. Mikołaj Kopernik to chluba

ludzkości, tembardziej chluba narodu polskiego. Uczcić godnie tę wielką rocznicę, to nasz przedewszystkiem obowiązek.

Sądząc, że po za okolicznościową uroczystością najlepszą formą hołdu w danym razie jest przyczynienie się do rozwoju tej nauki, dla której wielki nasz rodak położył fundamenty, Wolna Wszechnica Polska w Warszawie zainicjowała jeszcze w roku ubiegłym założenie pierwszego w Polsce Obserwatorjum Astrofizycznego imienia Mikołaja Kopernika. Starania w tym kierunku dały dotychczas pokaźne owoce. Znalazł się ofiarodawca, któremu projektowane Obserwatorjum zawdzięcza dziś posiadanie 8-io morgowego terenu. Znalazły się środki, za które zostały nabyte: teleskop o 30 cm. średnicy, fotometr i spektroskop, a także zamówione zwierciadło o 50 cm. do większego teleskopu. Cały szereg głośnych instytucji naukowych, jak Obserwatorja astronomiczne amerykańskie: Lick, Yerkes, M-t Wilson, Harvard, Sproul, Instytut Carnegiego, National American Research Council, obserwatorja angielskie: Greenwich i Oxford; francuskie: Paryż i Meudon; belgijskie: Bruksela; hiszpańskie: San Ferdando i Tortosa; portugalskie: Lizbona; kanadyjskie: Ottawa, wreszcie Sekcja Geodezyjna i Międzynarodowa Unji Geodezyjnej — nietylko odpowiedziały na odezwę w tej sprawie słowami uznania i zachęty, ale nadesłały bardzo cenne swe publikacje i obiecały w dalszym ciągu je nadsyłać. Tak poważne czasopismo fachowe, jak „Obserwatory", „Buletin astronomique" i „Memorie della Societa Astronomica Italiana", ogłosiły od siebie odezwy, wzywające do poparcia powyższych zamierzeń. Tembardziej oczekiwać należy, że i społeczeństwo polskie okaże się nie mniej hojne i przyczyni się do zbudowania placówki naukowej, godnej pamięci naszego wielkiego męża,

Ofiary skierowywać należy do P. K. O. (Pocztowa Kasa Oszczędności) Nr. 6050 Rachunek Obserwatorjum Astronomicznego im. Kopernika. Zebrane fundusze użyte zostaną wyłącznie na cele inwestycyjne, a przedewszystkiem na budowę, całkowitą odpowiedzialność za nie bierze na siebie Zarząd Wolnej Wszechnicy Polskiej, który ogłosi drukiem szczegółowe sprawozdania.

S. p. JULJAN TAŃSKI.

28-go stycznia zmarł nagle w Warszawie współpracownik pisma naszego ś. p. Juljan Tański wybitny znawca spraw kolejowych, który niedawno powrócił z Rosji i od 1-go stycznia b. r. zainicjował w „Tygodniu Polskim" dział gospodarczo-kolejowy.

Ciężkie były ostatnie lata wędrówki życiowej Ś. p. Juljana Tańskiego. W Rosji, uchodząc przed bolszewikami, uciekał razem z żoną i dzieckiem z miasta do miasta w tych okropnych szarpiących nerwy i rujnujących zdrowie warunkach, w jakich zwykle odbywała się ewakuacja miast rosyjskich przed wkroczeniem armji czerwonej. Podczas ostatniej ewakuacji w Sebastopolu, gdy miał wsiadać na statek, zachorowały mu żona i dziecko. Nie odważył się w tym stanie brać je w podróż morską, i został w Bolszewji, ryzykując, jako zadeklarowany antybolszewik trafić do czrezwyczajki. W ciągłej obawie o los swój i osób najbliższych, znosząc głód i chłód przebył dwa lata w Sowdepji. W końcu roku ub. udało mu się powrócić do Ojczyzny, o czem marzył oddawna.

Ale i tu nie skończyła się jego męczarna wędrówka. Miał ziemię ojczystą pod nogami, lecz nie miał dachu nad głową. W Rosji już dawno wszystko wyprzedał, aby nie umrzeć z głodu, nie miał miljonów, aby dać odstępnego za pokój, a takich pokoji, który mógłby wynająć człowiek, za skromne pieniądze z uczciwej pracy, jak wiadomo, już dawno niema w Warszawie.

Więc tułał się ten skołatany latami, ciężkiemi przejściami i już poważnie chory na serce człowiek po małych hotelikach i prywatnych mieszkaniach, które na kilka dni tylko puszczają gości, bo na nich najwięcej zarabiają.

Tracił w tej wędrówce resztki tego, co posiadał: resztki zdrowia nadwerężonego i ubogich rzeczy, które wywiózł z Rosji. Ostatnie z tych mieszkań czasowych opuścił ś. p. Juljan Tański już w trumnie, i znalazł dla siebie stałe mieszkanie na dalekim zakątku cmentarza na Powązkach, pozostawiając na tym padole płaczu osierocone żonę i córkę. Skołatane serce tułacze odmówiło dalszej pracy.

Swój zawód literacki ś. p. Juljan Tański rozpoczął w Polsce współpracując w „Przeglądzie Tygodniowym" i „Prawdzie". Następnie przeniósł się do Rosji i długie lata pisywał w dziennikach rosyjskich i Polskich na emigracji. Specjalnie pracował w dziedzinie kolejnictwa, ale nieraz zabierał głos i w sprawie polskiej.

Imię jego w kraju było zapomniane i nie przyszli towarzyszy pióra i pracy oddać ostatniej posługi ś. p. Juljanowi Tańskiemu. Tylko duchowieństwo kościoła Św. Piotra i Pawła na Koszykach, dowiedziawszy się, że w jego parafji pielgrzymkę ziemską ten tułacz zakończył, solennie i gorliwie modły za jego duszę strudzoną odprawiło i ciało jego odprowadziło tam, gdzie już nikt jego spokoju nie zakłóci.

W imieniu rodziny osieroconej wyrażamy tu duchowieństwu kościoła Św. Piotra i Pawła i w pierwszym rzędzie proboszczowi kościoła ks. prałatowi Szczęśniakowi szczere podziękowanie.

Czasopisma nadesłane.

Le Monde Nouveau 15 Janvier.

Jehan d'Ivray L'Italie Fasciste — *Hector Talvart* L'Humanisme chez Raymond Clauzel. — *Constant Bourquin* Comment doivent écrire les philosophes? (III) (Ce qu'en pensent MM. Jules de Gaultier, Dominique Parodi, Inspecteur général de l'Instruction publique, le docteur Paul Voivenel et Jean Royère) *Albert Jounet* Poèmes—*Henry Laurier* L'Industrialisation de l'Etat. — *Dr. Fernand Merlin* Le problème du Féminisme (fin). — *Paul Louis* Le déclin de la Société bourgeoise (VII)

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ od 1-go Lutego wynosi **miesięcznie 4000 mk.**
Za granicą w krajach z wysoką walutą kwartalnie **13** franków. W Ameryce **1** dolar.
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750. **Cena № pojedyńczego 1000 mk.**

Cena ogłoszeń: cała strona 400.000 mk. ½ str. 200.000 mk. ¼ str. 100.000 mk. ⅛ 50.000 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.